

Z KRAJU Z KRAJU Z KRAJU Z KRAJU

Czarny rynek rozumu

JACEK MOJKOWSKI

Jeśli pewnego dnia kilku ważnych pracowników odchodzi z zakładu państwowego i tworzy spółdzielnię, która nazajutrz proponuje, że ci sami ludzie w tym samym zakładzie mogą robić to samo, co dawniej, ale za większe pieniądze — to jest to biznes czy gangsterstwo?

— Czy to naprawdę taki grzech założyć z kolegami spółdzielnię, robić wreszcie coś konkretnego i mieć świadomość, że

Nie poświęcasz życia na przemianę materii?

— dziwi się Adam Szuba, szef nowo założonej spółdzielni „Comtech”.

W dyrekcji fabryki komputerów „Era” do dzisiaj na dźwięk nazwy „Comtech” mają miny jakby lykali tran.

— Nie ukrywam, że poczułem się słabo, kiedy Szuba powiadomił mnie, że składa wypowiedzenie i odchodzi z paroma specjalistami do własnej spółdzielni — wspomina Tadeusz Rafalko, zastępca dyrektora. — To jest prawie tak, jakbyś się dowiedział, że z pedzającego autobusu właśnie wyskoczył kierowca.

Tak czy owak sprawa podzieliła ludzi na tych, którzy uważają, że „Comtech” założyli zdolni ludzie oraz na tych, którzy twierdzą, że, owszem, są oni zdolni do wszystkiego.

Komputer ma sens tylko wtedy, gdy niejako wioży się do niego myśl, czyli dostarczyć się użytkownikowi całą dokumentację, oprogramowanie,

które pozwolą skorzystać z maszyny. W przeciwnym wypadku — pożytek z niej jest taki, że staje się ona kosztownym meblem, który zajmuje miejsce, szumi oraz błyska lampkami.

Fabryka „Era” produkuje komputery, zaś programy do nich pisał dział oprogramowania, którego szefem był właśnie Adam Szuba. Szuba z podległymi mu ludźmi pisał te programy do maja tego roku, kiedy to przyniósł do dyrekcji pismo zawiadamiające, że właśnie utworzył spółdzielnię i w związku z tym odchodzi. Wraz z nim odeszło czterech kierowników pracowni oraz paru specjalistów od programowania komputerów.

W ten sposób dział oprogramowania przeniósł się z „Ery” do prywatnego mieszkania, które stało się tymczasową siedzibą świeżo zarejestrowanej w sądzie spółdzielni „Comtech”, zajmującej się ni mniej ni więcej tylko oprogramowaniem systemów komputerowych.

Dyrektor Rafalko: — „Spółdzielnia przejęła niemal te same zadania, którymi od lat zajmuje się „Era”. Fabryka zaspokaja potrzeby krajowe i eksportowe na produkcję i serwis komputerów. Nie zachodziła więc potrzeba powoływania jakiejś nowej jednostki organizacyjnej. Tymczasem spółdzielnia „Comtech” proponuje nam teraz, że wykona oprogramowanie systemowe, że przeszkoli nam klientów, załatwi druk dokumentacji itd. A wszystko jest

W dyrekcji „Ery” uśmiechają się ironicznie, gdy przytaczam im tę opinię. Ich zdaniem, Szuba i inni mieli wolne ręce do działania, dostarczano im wszystko czego chcieli. Byli „pieszczochami” fabryki.

Mieli czy nie mieli? Pieścili ich czy nie? Gadanie o tym dzisiaj, to musztarda po obiedzie — nie mający znaczenia spór o interpretację.

To że odeszli — trudno. Ale dlaczego do diabła zrobili to znienacka i cały czas działali w tajemnicy — w dyrekcji zachodzą w głowę. — Gdyby ujawnili swój plan, moglibyśmy się jakoś przygotować na ich odejście.

W „Comtechu” twierdzą, że nad spółdzielnią pracowali nie w „tajemnicy”, lecz „bez rozgłosu”. Szuba uważa, że miał powody przypuszczać, że gdyby się ujawnili od razu, to zanim wykonałby pierwszy krok, sprawa zostałaby utopiona.

— Naprawdę

Nie potrzeba wielkiego intelektu, aby komuś szkodzić

— mówi. — Wystarczy napisać pismo do urzędu miasta, że nie ma powodu powoływać jakiegś tam spółdzielni i tej spółdzielni nie będzie, ponieważ nie otrzyma „zaświadczenia o celowości”.

Bez tego zaświadczenia nie otworzyliby więc konta w banku, nie dostaliby zezwolenia z wydziału zatrudnienia na przyjęcie ludzi do pracy, nie wyrobiliby pieczętek, ani nie wolno by im było kupować w sklepach na rachunek itp.

— Jeśli urzędnik za biurkiem będzie decydował, co

„Era” nie odpowiedziała na ofertę. („Znaczący, że nie jesteśmy im wcale tacy potrzebni — komentują w „Comtechu”). Ale za to inne firmy skorzystały ze spółdzielni, która podobno zawalona jest zamówieniami do końca roku.

— Dlaczego są tańsi? — wyjaśnia dyrektor Rafalko. — Ano dlatego, że nie mają takich kosztów stałych jak duży zakład. Tymczasem koszty „Comtechu”, to płace dla pracowników oraz cena za wynajęcie pokoju z telefonem. Sprzęt ich nie kosztuje, bo można się tak umówić, że usługę (np. opracowanie programu dla komputera sterującego w zakładzie gospodarką materiałową) można wykonać na maszynie należącej do klienta.

W „Erze” nie ukrywają, że po odejściu „Szuby i innych” mają tam „określone kłopoty kadrowe”. Na razie jednak sami sobie jakoś radzą, bądź szukają pomocy gdzie indziej, ale nie w „Comtechu”.

— Czy możemy ufać ludziom, którzy kiedyś grali z nami w jednej drużynie a potem wykonali wolę i znaleźli się po drugiej stronie? Znamy nasze słabe punkty i w każdej chwili taka współpraca może się zamienić w szantaż — powiada dyr. Rafalko. — Czy firma produkująca komputery może oddać spółdzielni w pacht oprogramowanie — jeden z ważniejszych działów fabryki? Czując to, uzależnialibyśmy los trzydziestoczłonowej załogi od widzimisię dziesięciu ludzi.

Przy okazji tego zdarzenia — w dyrekcji snują inne rozważania. Są przecież w firmie zdolni konstruktorzy, narzędziowcy, elektrycy, którzy pewnego dnia mogą wręczyć dyrektorowi pisma zawiadamiające, że właśnie utworzyli spółdzielnię: „Konstruktor”, „Narzędziowiec” czy „Elektryk”, które wykonają te sa-

mentacji itd. A wszystko jest możliwe tylko dzięki temu, że wyjęła z „Ery” najlepszych specjalistów. Jeśli konkurencja między nami ma polegać na tym, że oni będą nas ograbić z fachowców, to ja dziękuję za taką konkurencję.

Zawsze jest tak — twierdzą w spółdzielni — że jeśli ktoś chce zagłuszyć wyrzuty sumienia, szuka winnych gdzie indziej. A „Comtech” właśnie

Jest jakby wyrzutem sumienia „Ery”

— Dla większości z nas — mówi Szuba — praca w „Erze” to było coś w rodzaju siedzenia w fotelu na biegunach: niby się poruszasz, ale wciąż stoisz w miejscu. Bardzo mało zależy od ciebie samego, nie masz samodzielności i za nic nie odpowiadasz. Nigdy też nie będzie dobrych pomysłów tam, gdzie zbyt wiele zależy od gumowej pieczętki. W takiej sytuacji woliałem się ruszyć niż gnić. Podobnie myśleli inni.

kiem będzie decydował, co jest potrzebne gospodarce, a nie będzie decydował o tym sam rynek, to choćbyś miał najlepszy pomysł — bez „zaświadczenia o celowości” — możesz się tylko wypisać plynem antymolowym i czekać — powiada jeden z członków „Comtechu”.

Aby zatem być pewnym swego, lepiej było działać po cichu. Ale w „Erze” twierdzą teraz, że efekt tego jest taki, że zakład znalazł się pod ścianą: zamówienia na produkcję komputerów rosną, a dział oprogramowania w rozsypce.

— Odchodząc, wiedzieliśmy o kłopotach i dlatego w pierwszej kolejności zaproponowaliśmy swoje usługi „Erze” — twierdzą w „Comtechu”. — Moglibyśmy dla niej dalej pracować na sprzęcie wydzierzawionym nam przez zakład. Zdjęlibyśmy z głowy dyrektora, wszystkie kłopoty związane z oprogramowaniem komputerów. Ponadto nasza robota kosztowałaby „Erę” mniej niż wtedy, gdyśmy ją wykonywali, będąc na etatach...

„Elektryk”, które wykonają tę samą robotę, co dawniej, tyle że nie w oparciu o umowę o pracę, lecz na zasadzie zlecenia.

- Ten paradoks ma logikę

— z sarkazmem mówi I sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR w „Erze”, inż. Wojciech Cackowski. — Z takiej formuły „uspółdzielczania” państwowego zakładu płyna same korzyści. Przypuśćmy, że z większości wydziałów robimy spółdzielnie. W zakładzie pozostaną wówczas tylko nieliczni, którzy przejmą zarobki nieobecnych z tytułu tzw. redukcji zatrudnienia. Mimo mniejszej załogi przedsiębiorstwo wykona plan, gdyż zleci jego realizację spółdzielniom. Koszty z tym związane będą oczywiście „uzasadnione” i wkałkuje się je w cenę umowną, którą zapłaci klient... Tylko czy o to idzie w reformie?

Do snucia paradoksów skłania Cackowskiego paradoksalna rzeczywistość. Czy to możliwe — pyta, aby zakład, który w cztery lata podwoił produkcję (bez zmiany cen) i czterokrotnie powiększył eksport — nie był w stanie zarobić na średnią płacę, równą przynajmniej średniej krajowej?

Barierą był „faz” i podatki, które preferowały słabych kosztem silnych. A gdy dolożyć do tego jeszcze przepychanki wewnątrzbranżowe o to, kto ma podpadać pod „program elektronizacji kraju”, a kto nie — to nic dziwnego, że „Era” i jej podobne napędzają spółkom polonijnym i warsztatom rzemieślniczym wysoko kwalifikowanych matematyków, elektroników, informatyków, którzy w małym stopniu mają do czynienia z komputerami. Przypadek „Comtechu” można by tu uznać za pozytywny wyjątek. Inni zbierają kapustę, wyciskają z plastiku nakrętki, a w najlepszym układzie — zakładają autoalarmy. Jeszcze inni jadą do Francji na winobranie i nigdy już nie wracają.

W „Erze” podają przykłady firm polonijnych — „Computex”, „A vista”, „Amepol”, oraz jeszcze jakichś dwóch, znajdujących się gdzieś w okolicy, którym zakład dostarczył kwalifikowanych kadr.

— Jeśli w jednej z nich pracuje nasz były dyrektor techniczny, w innej znowu były dyrektor naczelny, to są to ludzie, którzy naprawdę doskonale wiedzą, kto ile jest u nas wart i kogo należy ściągnąć do siebie. Tworzy się coś w rodzaju „czarnego rynku rozumu”, na którym „Erze” ze swoimi kiepskimi możliwościami finansowymi i słabą siłą przebicia trudno się będzie wyrobić.

Dlatego też spółdzielca Szuba i sekretarz partii Cackowski zgadzają się co do jednego: że aby się dowiedzieć, dlaczego polska komputeryzacja kuleje, nie trzeba wcale czytać rządowych raportów. Wystarczy przestudiować listy płac. Obaj zgadzają się także, że pieniądze to rzecz ważna, ale nie jedyna.

Wojciech Jaruzelski zakończył wizytę na Kubie Rozmowy z Fidelem Castro * Podpisanie wieloletniego programu współpracy * Odlot do Nowego Jorku



(W) Podczas zwiedzania szkoły oficerskiej im. Karola Rólfy-Miałowskiego.

Fot. CAF — Langda

HAWANA (PAP). Sprawozdawcy PAP Michał Czarnecki i Ryszard Rymaszewski informują: We wtorek, w ostatnim dniu oficjalnej przyjacielskiej wizyty na Kubie, I sekretarz KC PZPR, prezes Rady Ministrów, gen. Wojciech Jaruzelski i pozostali członkowie delegacji polskiej odwiedzili Wyższą Szkołę Oficerską im. Karola Rólfy-Miałowskiego w pobliżu Hawany.

Wojciech Jaruzelski i Fidel Castro podpisali wieloletni program współpracy, specjalizacji, kooperacji i socjalistycznej integracji gospodarczej do roku 2000 między Polską i Kubą. Wieczorem Wojciech Jaruzelski serdecznie żegnany

Gen. W. Jaruzelski zwiedził poszczególne sale wykładowe i czytelnie, rozmawiał z podchorążymi i bezpośrednio interesował się przebiegiem nauki, warunkami wypoczynku i rekreacji. Na korytarzach szkoły

wisza portrety bohaterów walk o niepodległość Kuby i walk rewolucyjnych, a także kubańskich internacjonalistów. W głównym holu ustawiono popiersie gen. K. Rólfy-Miałowskiego, pod którym umieszczono jego słowa: „My, którzy przeżyliśmy tę walkę, którzy szczerzyliśmy się tym, że byliśmy bojownikami o odrodzenie Kuby, jesteśmy gotowi ponownie chwycić za broń, by odzyskać to, co straciliśmy w wyniku

(A) DOKOŃCZENIE NA STR. 4

U serdecznych przyjaciół

(P) Wizyta I sekretarza KC PZPR, prezesa Rady Ministrów gen. Wojciecha Jaruzelskiego na Kubie miała charakter oficjalny, trudno jednak wyobrazić sobie bardziej spontaniczne, serdeczne i przyjacielskie przyjęcie, niż to, jakie zgotowali polskim gościom Kubańczycy. Od chwili wylądowania na lotnisku w Hawanie członkowie polskiej delegacji mogli w pełni odczuć że znajdują się wśród serdecznych przyjaciół. Owacyjnie powitali ich mieszkańcy stolicy, a trasa podróży polskich gości w prowincji Cienfuegos zmieniła się w teren barwnego i rozbrzmiewającego muzyką festynu ludowego.

Polska wizyta na Kubie stała się m.in. okazją do przypomnienia pięknych tradycji wolnościowych i niepodległościowych obu naszych krajów. Gen. Wojciech Jaruzelski złożył wieńce pod pomnikiem największego bohatera narodowego Kuby, bojownika o wyzwolenie kraju spod panowania kolonializmu hiszpańskiego, José Martí, a także na grobie jego towarzysza broni, gen. Karola Rólfy-Miałowskiego. Postać bohatera polskiego, o którym dzieci kubańskie uczą się dziś w szkole, jest symbolem podobieństwa losów narodów Polski i Kuby: oba niepodległy byt państwowy i wolność wielokrotnie w przeszłości okupić musiały walką zbrojną.

Gospodarz wizyty, I sekretarz KC KP Kuby, przewodniczący Radu Państwa i Rady Ministrów Republiki Kuby, Fi-

(B) DOKOŃCZENIE NA STR. 4

KRAJU KRAJU KRAJU KRAJU

Czarny rynek rozumu

JACEK MOJKOWSKI

Jeśli pewnego dnia kilku ważnych pracowników odchodzi z zakładu państwowego i tworzy spółdzielnię, która nazajutrz proponuje, że ci sami ludzie w tym samym zakładzie mogą robić to samo, co dawniej, ale za większe pieniądze — to jest to biznes czy gangsterstwo?

— Czy to naprawdę taki grzech założyć z kolegami spółdzielnię, robić wreszcie coś konkretnego i mieć świadomość, że

Nie poświęcasz życia na przemianę materii?

— dziwi się Adam Szuba, szef nowo założonej spółdzielni „Comtech”.

W dyrekcji fabryki komputerów „Era” do dzisiaj na dźwięk nazwy „Comtech” mają miny jakby lykali tran.

— Nie ukrywam, że poczułem się słabo, kiedy Szuba powiadomił mnie, że składa wypowiedzenie i odchodzi z paroma specjalistami do własnej spółdzielni — wspomina Tadeusz Rafalko, zastępca dyrektora. — To jest prawie tak, jakbyś się odpedził, że z pedzającego autobusu właśnie wyskoczył kierowca.

Tak czy owak sprawa podzieliła ludzi na tych, którzy uważają, że „Comtech” założyli zdolni ludzie oraz na tych, którzy twierdzą, że, owszem, są oni zdolni do wszystkiego.

Komputer ma sens tylko wtedy, gdy niejako włoży się do niego myśl, czyli dostarczyć się użytkownikowi całą dokumentację, oprogramowanie,

które pozwolą skorzystać z maszyny. W przeciwnym wypadku — pożytek z niej jest taki, że staje się ona kosztownym meblem, który zajmuje miejsce, szumi oraz błyska lampkami.

Fabryka „Era” produkuje komputery, zaś programy do nich pisał dział oprogramowania, którego szefem był właśnie Adam Szuba. Szuba z podległymi mu ludźmi pisał te programy do maja tego roku, kiedy to przyniósł do dyrekcji pismo zawiadamiające, że właśnie utworzył spółdzielnię i w związku z tym odchodzi. Wraz z nim odeszło czterech kierowników pracowni oraz paru specjalistów od programowania komputerów.

W ten sposób dział oprogramowania przeniósł się z „Ery” do prywatnego mieszkania, które stało się tymczasową siedzibą świeżo zarejestrowanej w sądzie spółdzielni „Comtech”, zajmującej się ni mniej ni więcej tylko oprogramowaniem systemów komputerowych.

Dyrektor Rafalko: — „Spółdzielnia przejęła niemal te same zadania, którymi od lat zajmuje się „Era”. Fabryka zaspokaja potrzeby krajowe i eksportowe na produkcję i serwis komputerów. Nie zachodziła więc potrzeba powoływania jakiegś nowej jednostki organizacyjnej. Tymczasem spółdzielnia „Comtech” proponuje nam teraz, że wykona oprogramowanie systemowe, że przeszkoli nam klientów, załatwi druk dokumentacji itd. A wszystko jest

W dyrekcji „Ery” uśmiechają się ironicznie, gdy przytaczam im tę opinię. Ich zdaniem, Szuba i inni mieli wolne ręce do działania, dostarczano im wszystko czego chcieli. Byli „pieszczochami” fabryki.

Mieli czy nie mieli? Pieścili ich czy nie? Gadanie o tym dzisiaj, to musztarda po obiedzie — nie mający znaczenia spór o interpretację.

To że odeszli — trudno. Ale dlaczego do diabła zrobili to znienacka i cały czas działali w tajemnicy — w dyrekcji zachodzą w głowę. — Gdyby ujawnili swój plan, moglibyśmy się jakoś przygotować na ich odejście.

W „Comtechu” twierdzą, że nad spółdzielnią pracowali nie w „tajemnicy”, lecz „bez rozgłosu”. Szuba uważa, że miał powody przypuszczać, że gdyby się ujawnili od razu, to zanim wykonałby pierwszy krok, sprawa zostałaby utopiona.

— Naprawdę

Nie potrzeba wielkiego intelektu, aby komuś szkodzić

— mówi. — Wystarczy napisać pismo do urzędu miasta, że nie ma powodu powoływać jakiegś tam spółdzielni i tej spółdzielni nie będzie, ponieważ nie otrzyma „zaświadczenia o celowości”.

Bez tego zaświadczenia nie utworzyliby więc konta w banku, nie dostaliby zezwolenia z wydziału zatrudnienia na przyjęcie ludzi do pracy, nie wyrobiliby pieczętek, ani nie wolno by im było kupować w sklepach na rachunek itp.

— Jeśli urzędnik za biurkiem będzie decydował, co

„Era” nie odpowiedziała na ofertę. („Znaczący, że nie jesteśmy im wcale tacy potrzebni — komentują w „Comtechu”). Ale za to inne firmy skorzystały ze spółdzielni, która podobno zawalona jest zamówieniami do końca roku.

— Dlaczego są tańsi? — wyjaśnia dyrektor Rafalko. — Ano dlatego, że nie mają takich kosztów stałych jak duży zakład. Tymczasem koszty „Comtechu”, to płace dla pracowników oraz cena za wynajęcie pokoju z telefonem. Sprzęt ich nic nie kosztuje, bo można się tak umówić, że usługę (np. opracowanie programu dla komputera sterującego w zakładzie gospodarką materiałową) można wykonać na maszynie należącej do klienta.

W „Erze” nie ukrywają, że po odejściu „Szuby i innych” mają tam „określone kłopoty kadrowe”. Na razie jednak sami sobie jakoś radzą, bądź szukają pomocy gdzie indziej, ale nie w „Comtechu”.

— Czy możemy ufać ludziom, którzy kiedyś grali z nami w jednej drużynie a potem wykonali wolę i znaleźli się po drugiej stronie? Znamy nasze słabe punkty i w każdej chwili taka współpraca może się zamienić w szantaż — powiada dyr. Rafalko. — Czy firma produkująca komputery może oddać spółdzielni w pacht oprogramowanie — jeden z ważniejszych działów fabryki? Czynać to, uzależniałbyśmy los trzydziściennej załogi od widzimisię dziesięciu ludzi.

Przy okazji tego zdarzenia — w dyrekcji snują inne rozważania. Są przecież w firmie zdolni konstruktorzy, narzędziowcy, elektrycy, którzy pewnego dnia mogą wręczyć dyrektorowi pisma zawiadamiające, że właśnie utworzyli spółdzielnię: „Konstruktor”, „Narzędziowiec” czy „Elektryk”, które wykonają to sa-

mentacji itd. A wszystko jest możliwe tylko dzięki temu, że wyjęła z „Ery” najlepszych specjalistów. Jeśli konkurencja między nami ma polegać na tym, że oni będą nas ograbiać z fachowców, to ja dziękuję za taką konkurencję.

Zawsze jest tak — twierdzą w spółdzielni — że jeśli ktoś chce zagłuszyć wyrzuty sumienia, szuka winnych gdzie indziej.. A „Comtech” właśnie

Jest jakby wyrzutem sumienia „Ery”

— Dla większości z nas — mówi Szuba — praca w „Erze” to było coś w rodzaju siedzenia w fotelu na biegunach: niby się poruszasz, ale wciąż stoisz w miejscu. Bardzo mało zależy od ciebie samego, nie masz samodzielności i za nic nie odpowiadasz. Nigdy też nie będzie dobrych pomysłów tam, gdzie zbyt wiele zależy od gumowej pieczętki. W takiej sytuacji wołałem się ruszyć niż gnić. Podobnie myśleli inni.

kiem, będzie decydował, co jest potrzebne gospodarce, a nie będzie decydował o tym sam rynek, to choćbyś miał najlepszy pomysł — bez „zaświadczenia o celowości” — możesz się tylko wypisać plynem antymolowym i czekać — powiada jeden z członków „Comtechu”.

Aby zatem być pewnym swego, lepiej było działać po cichu. Ale w „Erze” twierdzą teraz, że efekt tego jest taki, że zakład znalazł się pod ścianą: zamówienia na produkcję komputerów rosły, a dział oprogramowania w rozsypce.

— Odchodząc, wiedzieliśmy o kłopotach i dlatego w pierwszej kolejności zaproponowaliśmy swoje usługi „Erze” — twierdzą w „Comtechu”. — Moglibyśmy dla niej dalej pracować na sprzęcie wydierżawionym nam przez zakład. Zdjęlibyśmy z głowy dyrektora, wszystkie kłopoty związane z oprogramowaniem komputerów. Ponadto nasza robota kosztowałaby „Erę” mniej niż wtedy, gdyśmy ją wykonywali, będąc na etatach...

„Zarządziowiec” czy „Elektryk”, które wykonają tę samą robotę, co dawniej, tyle że nie w oparciu o umowę o pracę, lecz na zasadzie zlecenia.

- Ten paradoks ma logikę

— z sarkazmem mówi I sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR w „Erze”, inż. Wojciech Cackowski. — Z takiej formuły „uspółdzielczania” państwowego zakładu płyna sama korzyść. Przypuśćmy, że z większości wydziałów robimy spółdzielnię. W zakładzie pozostaną wówczas tylko nieliczni, którzy przejmą zarobki nieobecnych z tytułu tzw. redukcji zatrudnienia. Mimo mniejszej załogi przedsiębiorstwo wykona plan, gdyż zleci jego realizację spółdzielniom. Koszty z tym związane będą oczywiście „uzasadnione” i w kalkuluje się, że w cenę umowną, którą zapłaci klient... Tylko czy o to idzie w reformie?

Do snucia paradoksów skłania Cackowskiego paradoksalna rzeczywistość. Czy to możliwe — pyta, aby zakład, który w cztery lata podwójł produkcję (bez zmiany cen) i czterokrotnie powiększył eksport — nie był w stanie zarobić na średnią płacę, równą przynajmniej średniej krajowej?

Barierą był „faz” i podatki, które preferowały słaby kosztem silnych. A gdy dolożyć do tego jeszcze przepychanki wewnątrzbranżowe o to, kto ma podpadać pod „program elektroniczacji kraju”, a kto nie — to nic dziwnego, że „Era” i jej podobne napędzają spółkom polonijnym i warsztatom rzemieślniczym wysoko kwalifikowanych matematyków, elektroników, informatyków, którzy w małym stopniu mają do czynienia z komputerami. Przypadek „Comtechu” można by tu uznać za pozytywny wyjątek. Inni zbierają kapustę, wyciskają z plastiku nakrętki, a w najlepszym układzie — zakładają autoalarmy. Jeszcze inni jadą do Francji na winobranie i nigdy już nie wracają.

W „Erze” podają przykłady firm polonijnych — „Computex”, „A vista”, „Amepol”, oraz jeszcze jakichś dwóch, znajdujących się gdzieś w okolicy, którym zakład dostarczył kwalifikowanych kadr.

— Jeśli w jednej z nich pracuje nasz były dyrektor techniczny, w innej znowu był dyrektor naczelny, to są to ludzie, którzy naprawdę doskonale wiedzą, kto ile jest u nas wart i kogo należy ściągnąć do siebie. Tworzy się coś w rodzaju „czarnego rynku” rozumu”, na którym „Erze” ze swoimi kiepskimi możliwościami finansowymi i słabą siłą przebicia trudno się będzie wyrobić.

Dlatego też spółdzielca Szuba i sekretarz partii Cackowski zgadzają się co do jednego: że aby się dowiedzieć, dlaczego polska komputeryzacja kuleje, nie trzeba wcale czytać rządowych raportów. Wystarczy przestudiować listy płac. Obaj zgadzają się także, że pieniądze to rzecz ważna, ale nie jedyna.